

KADET

CZASOPISMO KADETÓW KORPUSU KADETÓW Nr. 2 W CHEŁMNIE.

TREŚĆ:

- | | |
|----------------------------|---------------------------|
| 1. Nekrolog. | 7. Fatalna trzynastka |
| 2. Sądy honorowe. | 8. Humor. |
| 3. Z minionych dni. (dok.) | 9. Sprawozdania sportowe. |
| 4. Galera. | 10. Kronika korpusowa. |
| 5. Partja szachów. | 11. Konkurs |
| 6. Grób marynarzy. | 12. Krzyżówka. |

„Swoboda w myśleniu, karność w działaniu“.
Stanisław Szczepanowski.



ś. p.

Henryk Bogusławski

rotmistrz 9-go pułku strzelców konnych,
wykładowca Korpusu Kadetów Nr. 2,
po długiej i ciężkiej chorobie zmarł dnia 7-go
grudnia 1926 r. w Warszawie, w Szpitalu Oficersk.
Szkoły Sanitarnej.

Cześć Jego pamięci!

KADECI.

O ORGANIZACJĘ KOLEŻEŃSKICH SĄDÓW HONOROWYCH W KORPUSIE KADETÓW.

Honor jest jednym z najjaśniejszych klejnotów w życiu społecznym. Pojęcie honoru bywa jednak często spaczne dzięki niezrozumieniu przez wielu jego istoty. Jasnym jest, że w wojsku honor musi być cenionym jak najwyżej.

W części I. Reg. służby wewn. p. 10. mamy wyraźnie powiedziane: „(Żołnierz polski) nosząc ubiór obrońcy Rzplitej, wie że wartość człowieka wogóle, a żołnierza w szczególności, wynika z jego honoru, tj. poczucia godności osobistej, oraz godności stanu, do którego należy. Honor był i będzie źródłem czynów i postępowania żołnierza polskiego; hasło wypisane na znakach naszych „Honor i Ojczyzna“ stanie się jego dźwignią.“

Tyle w napozór martwym regulaminie. W trudnym życiu wojskowym zdarzają się niestety konflikty na podkładzie uchybień prawom honoru. Jak rozwiązać, często bardzo drażliwą, sytuację, by honorowi stało się zadość?

Praktycznym załatwieniem tej kwestji okazały się sądy honorowe. Stoją one na straży honoru, wyrównują spaczne o nim pojęcia. Istnienie takich sądów, zwłaszcza w wojsku, jest konieczne, a w wielu wypadkach wprost nieodzowne.

W niniejszym artykule chcę poruszyć kwestję ewentualnego stworzenia kadeckiego sądu honorowego dla wszystkich kompanij, lub raczej tylko w dwóch starszych z nich.

Nietylko w wojsku, ale nawet w szkołach cywilnych możemy się spotkać z organizacją S. H., koleżeńskimi zwanymi, których istnienie często oparte jest na t. zw. samorządzie szkolnym, wprowadzanym przez niektóre dyrekcje szkół, za przykładem Ameryki. W życiu zbiorowym nie można uniknąć pewnych tarć, nieporozumień wzajemnych, opartych często na błahostkach, które bez czyjejkolwiek nawet złej woli urastają do konfliktów groźących koleżeństwu i zgodnemu współżyciu. Nie trzeba chyba dodawać, że Korpus nie może stanowić wyjątku i że podobne wypadki miewają miejsce i u nas.

Kompanję wychowuje jej dowódca. Jest on dla podwładnych swoich nietylko przełożonym, ale i ojcem-opiekunem. W zakres jego kompetencyj wchodzi również i rozstrzyganie sporów i zatargów między kadetami. Są jednak w życiu koleżeńskim przeżycia tak subtelne, że stokroć większym zadowoleniem napoi zainteresowanych załatwienie sprawy w gronie kolegów.

Instytucją, któraby wyrokowała w niektórych takich wypadkach, stałyby się koleżeńskie sądy honorowe. Nieodzownym byłoby naturalnie ścisłe uzgodnienie zakresu ich działania z kompetencją dowódcy kompanji.

Dla dokładniejszego zobrazowania istoty S. H. przytoczę niektóre zasady, na których jest oparty sąd honorowy S. O. Inż. i Sap.:

— Komendant szkoły wyznacza dzień, w którym się mają odbyć wybory do S. H. dla danej kompanji (dla danego rocznika).

— Komendant szkoły ogłasza jednocześnie listę kandydatów na przewodniczącego sądu z pośród oficerów kadry szkolnej (z pośród kadetów danej kompanji).

— Wybory rozpoczynają się od wyboru przewodniczącego i zgłoszenia listy kandydatów na sędziów. Sędziów jest czterech, oraz dwóch zastępców.

— Głosowanie tajne, bezpośrednie, odbywa się drogą składania kartek z nazwiskami sędziów. Decyduje zwykła większość głosów. Zastępcami zostają ci z pośród obranych, którzy otrzymali najmniejszą ilość głosów.

— O wyniku wyborów spisuje się protokół, który drogą służbową przedstawia się komentantowi szkoły do zatwierdzenia.

— Po zatwierdzeniu S. H. odbywa posiedzenie inauguracyjne, na którym obiera z pośród siebie zastępcę przewodniczącego oraz sekretarza.

— Zakres działania S. H. jest rozległy: może on rozpatrywać samorzutnie sprawy, w których uzna za stosowne interwenjować.

— Przewodniczący sądu ma prawo bezpośredniej łączności z komendantem szkoły (z pominięciem drogi służbowej).

— W każdej sprawie Sąd spisuje odnośne dochodzenie oraz wydaje umotywowany wyrok. Odpisy wyroku wręcza się stronom.

Nie będę tu wliczał wszystkich punktów statutu. Wspomniałem te tylko, które dają nam ogólne pojęcie o organizacji podobnych sądów honorowych.

Co do kar, są one następujące:

1. Upomnienie przed sądem.
2. Nagana
3. Upomnienie przed frontem kompanji.
4. Nagana
5. Wykluczenie z "grona" koleżeńskiegó na czas od 1-go do 4-ch tygodni.

(Jest to kara bardzo dotkliwa: wykluczony z grona kolegów otrzymuje zakaz bliższego obcowania, rozmawiania z nimi, podawania ręki, pomagania itd. Wyjątek stanowią stosunki służbowe, oraz nagłe, grożące niebezpieczeństwem, wypadki).

6. Wniosek o wydalenie ze szkoły.

Jak widać. S. H. są rzeczą bardzo poważną i nie wolno ich w żaden sposób lekceważyć. Nie wolno też robić z nich użytku osobistego, lub też bagatelizować ich znaczenia.

Z tego wynika, że przed wyborami trzeba się porządnie i skrupulatnie zastanowić nad doбором sędziów. Nie mogą oni zawieść zaufania kompanji, a przewodniczący zaufania kolegów i komendanta szkoły.

Najżywniejszą kwestją przy stworzeniu S. H. jest ułożenie odpowiadającego wymaganiom szkoły — statutu honorowego. Dałoby się to uskutecznić przez powołanie odpowiedniej komisji z pośród kadetów, która pod kierunkiem oficerów opracowałaby dokładnie dany statut.

Sądy honorowe ukróciłyby wszelkie oznaki lekceważenia godności munduru kadeckiego. Czy to w służbie, czy poza służbą, na urlopie, czy w Korpusie, kadet zawsze i wszędzie godność munduru nadewszystko szanować musi! Przestrzegalby tego jeszcze pilniej, gdyby wiedział, że na straży tych nienaruszalnych przykazań jego honoru, stoją sprężyste, energiczne i sprawiedliwe koleżeńskie sądy honorowe. A wtedy wszyscy kadeeci nawet tam, gdzie ich nieczyje oko nie dostrzeże będą się zachowywać tak, jak naprawdę na kadetów przystało, podnosząc tem w społeczeństwie szacunek i ufność do naszego granatowego munduru i czapki z półsłońcem.

Kdt. Juljusz Oszczakiewicz.

Przypisek redakcji: Ogłaszając pierwszy głos w tak ważnej i żywotnej sprawie, jak stworzenie S. H. w Korpusie, zwracamy się do ogółu

kolegów z prośbą o nadsyłanie do redakcji „Kadeta” swoich projektów i zdań w tej sprawie, która wszystkich nas musi zainteresować. Chętnie udzielimy gościny na łamach naszego pisma każdemu, kto zechce poważnie i rzeczowo zabrać głos w ankiecie, którą otwieramy artykułem kol. Oszczakiewicza.

Z MINIONYCH DNI.

(Dokończenie).

— Mam czas po bitwie.

Od strony szpicy huknął nagle strzał, potem znowu jeden, drugi, trzeci, i ucichło.

Cichocki zatrzymał kompanję.

— Hop! Hop! Zaczyna się — zawołał Bolek. Stanęli wszyscy, wsłuchując się w ciszę leśną.

— Biegnie szpica — zawołał któryś.

Rzeczywiście wyraźnie było słychać trzask łamanych gałęzi i tupot nóg. Nadbiegli.

— Panie poruczniku, meldował jej dowódca — bolszewicy we wsi niedaleko, za lasem, będzie ze dwustu ludzi.

— Dobrze. Drugi pluton kierunkowy! Pierwszy na prawe skrzydło, trzeci na lewe! Wykonać!

Rozbiegli się sprawnie.

— Szósta drużyna, jako szpica, w odstępie pięćdziesięciu kroków. Wykonać!

Szóstą była drużyna Pyry. Ruszyli natychmiast. Pięćset kroków dalej las kończył się raptownie. Za lasem rozciągała się olbrzymia równina, na której gdzieś widniały wioski. W pierwszej z nich znajdowali się bolszewicy. Pyra zatrzymał swoją drużynę i czekał na resztę kompanji. Nadeszli szybko. Cichocki podszedł na skraj lasu i orjentował się w sytuacji. Na prawo rozciągał się przez las aż do wioski głęboki wąwóz, którym łatwo można było dojść poza chaty. Pozatem przestrzeń była zupełnie odkryta.

— Nareszcie! szepnął Bolek.

— Na bagnety!

— Hurraa!!

Porwali się z ziemi i, jak nawałnica, lecieli na wieś. Cały huragan ognia rozpełtał się nad nimi. Bolszewicy strzelali zapamiętale do ostatniego tchu, ale oni już oślepli szałem.

— Hurraa! hurraa!

Bolek biegł jeden z pierwszych. Nie widział nic naokoło, tylko jedną czerwoną płachtę. Przez mózg, wichrowym pędem, przelatywały skłębione myśli. A potem zwierzę przebudziło mu się w piersi; jakby wietrzył krew. Jakieś ciało padło ciężko obok na ziemię, bryzgając krwią. Nie widział. Dobiegli wsi. Przed Bolkim wyrosła nagle sylwetka niskiego kacapa. Pchnął go całym rozmachem w brzuch, aż ostrze zgrzytnęło po krzyżu.

— Hospodni..... Kacap runął na ziemię z rozłożonemi rękoma.

Cała drużyna zwarła się już z bolszewikami w szeregu pojedynków. Ostrza bagnatów błyskały w szybkich nieuchwytnych ruchach.

Bolszewicy po pokonaniu pierwszego rozpadu, coraz widoczniej brali górę nad drużyną Pyry. Zalali ją ze wszystkich stron. Uderzyła na nich drużyna piąta, lecz i tę otoczyli. Coraz to krórys z nadwiślaków padł na ziemię zbuczony krwią. Nagle głośnie hura zdetonowało bolszewików. To drugi pluton usiadł im na kark. W tej chwili i pierwszy uderzył od czoła. Teraz bolszewicy byli straceni. Rozpoczęła się rzeź. Moskale nie mieli możności ucieczki, bronili się ze straszliwą rezygnacją.

Bolek walczył ciągle. Zapach krwi i potu podniecał, go do szału.

— Bij, bij, — syczała mu poczwara w piersiach. Przed sobą zobaczył wysokiego draba z czerwoną gwiazdą na piersi. — Bij! Skoczył do niego i pchnął mocno karabinem. Kacap odskoczył w tył i pociągnął za spust.

— Jezus.... Marja — krzyknął chłopiec.

Ostry, przejmujący ból przewiercił mu piersi. Czarne płatki zawirowały przed oczyma. Poczul, że leci w jakąś przepaść bezdenną i stracił przytomność...

— Stachu.

— Jestem przy tobie.

— Ja już.... umrę.... w tym szpitalu!

W oczach Stacha zaperliły się łzy. Odwrócił się szybko i powiedział surowym głosem:

— Nie mów głupstw!

Nastała głucha cisza, przerywana tylko ciężkim, świszczącym oddechem rannego.

— Stachu. Tak mi.... żal.

— Czego Bółku?

— Słońca.... kwiatów.... wszystkiego....

I znowu cisza.

— Pamiętaj.... jak umrę.... powiesz mojej matce.... że to za Polskę.... za Ojczyznę.... Niech nie płacze. Powiesz?

Chwycił mocno Stacha za rękę.

— Powiem — wyszeptał tamtem przez łzy.

— I... i moją czapkę.... kadecką.... połóżcie mi na trumnie.

Stach buchnął głośnie łkaniem i wybiegł z pokoju.

W parę dni potem Bolek umarł. Na trumnie miał czapkę kadecką i mały krzyżyk „Virtuti militari“.

„Śpij, kolego, a w tym grobie
Niech się Polska przyśni Tobie!“

(Koniec). kdt. Grynbaum Edward.



Galera.

*Hej, płyń, galero życia, płyń!
Hej, wietrze groźny, w liny dzwoń!...
Płyń z biegiem fal i żagle zwiń,
Galero płyń, zapadaj w toń!...*

*Niech prąd cię niesie, silny prąd,
Niech cię otuli pieśnią fal,
Choć nie wie sam, — skąd płynie, skąd,
I w jaką cię zanieśe dał!...*

*Lecz wszystko jedno — z prądem płyń,
On cię zanieśe w państwo snów...
Hej, płyń, galero, żagle zwiń,
Bo wiatr cię w tył zawróci znów!...*

*Za tobą — śmierć, przed tobą — czar,
Wybieraj więc i żagle zwiń,
Bo nicość — niecodzienny dar...
Hej, płyń, galero, przed się płyń!...*

J. S.

PARTJA SZACHÓW.

NOWELA.

Śnieg sypał od kilku dni bez przerwy. Miljardy gwiazdek śnieżnych ściełity puszysty płaszcz na przemarzniętej ziemi. Okopy stroiły się w śniegowe osypiska, skrzyły iskrami barwnych świetlików, wyginając swe grzbiety na kształt fantastycznych murów i fos fortecznych. Śnieg zacierał ślady walki, wypełniał wyrwy po granatach i szrapnelach i upodabniał przedpole do cichych ugorzysk drzemiących pod pokrywą śnieżną. Na odcinku, którego bronił bataljon majora Strzygonia panował od dwu prawie tygodni zupełny spokój. Przerzywały go czasem luźne strzały powodowane przesuwaniem zasieków przez wroga, błąkały się zrzadka ślepe kule nie czyniące zresztą szczerb w oddziale majora Strzygonia.

Zadanie bataljonu było odpowiedzialne. Miał nie pozwolić wrogowi przedarcia się na tyły armji polskiej przez zakrzepnięte teraz w calinę bagniska, których niepodobna było pilnie obsadzić dla wielkiej rozciągłości. Umocnione tedy wzgórze, dominujące nad całym terenem służyło bataljonowi za bazę.

Mróż trzymał siarczysty. Żołnierze okutani w płaszcze i kożuchy palili ukradkiem ogniska, wchłaniając nieomal w siebie nikłe ciepło promieniujące z nich.

Major Strzygoń przeniósł „sztab“ bataljonu, to jest siebie i mapy do pobliskiego dworku, nie obawiając się wznowienia działań wojennych.

Stary wojak przyjęty został serdecznie przez właściciela majątku pana Życkiego i rozgościł się z całym zadowoleniem człowieka, który od miesiąca nie wyciągał znużonych kości na prawdziwym łożku.

W ciągu pierwszych dni przebywał prawie cały dzień w okopach, powracając tylko na noc w gościnne progi dworku.

Ale duży, gdański kominek grzał tak mile, a piwniczka pana Życkiego była tak zasobna, że coraz rzadziej jeździł major do bataljonu, poprzestając na odbieranych meldunkach, które niezmiennie, co dnia brzmiały: „Na linii: spokój. Atak wroga nieprzewidywany“.

Obcując ze sobą, dwaj mieszkańcy samotnego dworku poczęli sobie coraz bardziej przypadać do serca. Łączyła ich wspólna pasyjka do szachów, którą w sobie wzajem z radością odkryli. Grywali też w dzień, grywali wieczorami, a ciekawsze partie nierządno i do północy się przeciągały.

Pewnego wieczora stary pan Życki z figlarną miną zagadnął Strzygonia:

— No, majorze, duszeńko, zgaduj, jaki to jutro dzień mamy?

— Dalibóg niewiem — odrzekł major.

— Taż Wigilja! — wykrzyknął dziedzic. — Ot, jak my pogany o Panu Bogu zapomnieli. Trza nam przebłągać Go za winę. Taki ja przykazał, jak się patrzy, wieczere wiligijną na jutro, aby my, chrześciance, po bożemu ten dzień obchodzili. Pomodlimy się, pośpiewamy kolendy, jak należy.

Nieprzeszkodziły te rozważania nowej partji szachów, którą też obaj przyjaciele zaczęli zaraz po rannej kawie. Nadeszła wigilja. Dzień się zrodził mroźny i cichy. Nawet śnieg przestał sypać. W przytulnej alkówce narzucono w kominek co najsmolniejsze szczapy, a dla rozgrzewki na stoliku z szachami pojawiła się karafinka jakowegoś przedziwnego likworu, troskliwie przechowywanego przez pana Życkiego. Zaczęta partja była niesłychanie zajmująca. Umiejętne i przemyślnie „szachy“ majora parował skutecznie pan Życki mający swój „dobry dzień“. Nie spostrzegli się nawet, że minęło południe i pomroka wieczorna poczęła spowijać nagie konary drzew na dworze i wpełzała chyłkiem poprzez okna do alkówki. Zabłysła wnet pierwsza gwiazda. Stary, kłapiący trębami Łukasz drżąco-uroczystym głosem obwieścił:

— Proszę łaski panów, wigilja na stole!

Dźwignęli się obaj leniwie, myśląc ciągle o niedokończonych partji. Wieczere jedli dosyć spiesznie, zakrapiając ją przedniem winkiem z omszałych butelczyn. Powoli języki się rozwiązały i zapomnieli na chwilę o przerwanej batalji szachowej.

Poczęły się snuć przedziwne nici wspomnień, barwne przypominania dni przeszłych. Major Strzygoń bijał się na czterech frontach, a pan Życki miał w pamięci mnóstwo przeżyć z wojny japońskiej, a opisami walk morskich i niezapomnianej Cuszimy zadziwiał majora. Doszukiwali się wzajemnie w swych opowieściach podobnych odczuć, wrażeń, pokrewnych nastrojów przedbitewnych, czytając chciwie w nie mającej końca księdze wojen. Major umiał barwnie mówić. Roztoczył przed swym słuchaczem tęczę przeżyć z dni wojennych, malował zdobywanie redut bałkańskich i piekielne huragany ognia pod Yprés czy Verdun,

Niedostyżalnym chodem wskazówek szedł czas naprzód. Nagle, dziwnie głośno i niespodziewanie rozdzwonił się kurant zegarowy. Nastrój przyst. Uściskali się serdecznie i obaj jedną wiedzeni myślą, zapominając o kolendach, zasiedli się do nieskończonej partji. Majorowi jakoś nie szło. Zdradnym i cichym manewrem zagarnął mu gospodarz wieżę, a w chwilę potem i oba konie. Partja zdawała się być skończoną.

Major był zdenerwowany. Skupił myśl i począł się bronić. Z obrony przeszedł do działań zaczepnych. Śmiało posunięciami niweczył podchwyty przeciwnika i wzamian za swoje dwa konie „zabił“ panu Życkiemu damę. Nagle dało się słyszeć gwałtowne łomotanie. Gracze podnieśli głowy i poczęli nadłuchiwać. Drzwi otwarły się z traskiem i zdumieni ujrzeli zdyszanego żołnierza, który chwytając nagłemi zachłyśnięciami oddech, wypalił jednym tchem.

— Panie majorze, melduję, że na bolszewickiej stronie jakieś ruchy i przygotowania. Szykują atak!...

Major ze zdumienia i oszołomienia nie mógł mówić.

Wreszcie wykrzyknął: „Co? Niemożliwe! Dzisiaj, przy wigilji? Wracaj i natrzyj uszu placówce za fałszywy alarm!“

Żołnierz chciał coś powiedzieć, ale zgromiony surowem spojrzeniem oficera — wybiegł.

Gra toczyła się dalej. Nagle czarny prostokąt nieba za oknami przetrzęła krwawym blaskiem rakiet. Jedna, potem druga.

Major spojrział niespokojnie w okno, ale nie wstał od gry. Począł nerwowo atakować pionkami, nie bacząc, że odłania króla. — Szachi — krzyknął pan Życki i głos jego zlał się z hukiem oddalonego wystrzału.

Major Strzygoń zerwał się i pobiegł do okna. Noc była cicha i ciemna.

— Siadaj, duszko — rzekł pan Życki, taki ktoś sobie na ochotę strześlił, na powitanie Bożego Dzieciątka. Siadaj!

Nie, nie! Muszę pojechać na linję. Tam się naprawdę coś złego gotuje — odpowiedział.

— Ot przywidzenie. Skończym partję taki pojedziesz.

Ja sam wyprawię — argumentował gospodarz ciągnąc majora do stolika. I gra znów się zaczęła.

Nagle zjadliwym, przerażonem echem zagrzechotała palba karabinowa. Równocześnie rozległ się tupot na ganku i do pokoju wpadł porucznik, adjutant majora, w mundurze splamionym krwią.

— Majorze! Linja przerwana! Bolszewicy przedarli się na tyły. Resztki naszych chłopców ustępują:

Major jęknął, porwał się i wybiegł.

W pół godziny potem zagrzewał słabnących żołnierzy do wytrwania na straconym posterunku. Oćma jakaś przesłaniała mu oczy i spowiła myśl. Wydawał automatycznie rozkazy, odurzony nagłym przeskokiem od cichej alkowy dworku do tej wrzawy pokrajanej świstem kul i szczękiem bagnatów. Bolszewików była ćma ogromna. Zaskoczony we śnie żołnierz polski słaby stawał opór. Gdzieś z boku przeraźliwym zgrzytem wdarł się w bitewną wrzawę warkot karabinów maszynowych.

Skrzydła poczęły się chwiać.

Strzygoń pochwyił pierwszy z brzegu karabin i rzucił się naprzód. Ale nie było już czego bronić. Przegrana była zupełna.

Pękło coś w duszy majora, gdy pędząc naprzód widział uciekających w panice swoich chłopców.

Jednocześnie targnął nim ból okropny, wgryził mu się w nogę. Upadł i stracił przytomność.

Gdy czołowa banda bolszewików unosiła nieprzytomnego majora, pan Życki dumał jeszcze nad niedokończoną, wigilijną partją szachów.

Kdt. Stefan Werner.

„GRÓB MARYNARZY“.

Skrzyło się miliardami gwiazd milczące czarne niebo nad wzburzoną zatoką Sund.

W mroku, bezszelestnie niemal posuwał się torpedowiec, zostawiając za sobą smugę piany, zlekka forforyzującą w chłodnym, migotliwym świetle gwiazd. Z kominów, w czarnych gryzących obłokach dymu wylatywały rzadka snopy iskier, rozświetlając na chwilę ciemności; światła sygnałowe blade znaczyły się na mglistej sylwetce okrętu — czerwono-zielonemi plamami. Dyskretny warkot maszyny zlewał się z cichym zgrzytem śruby w jakąś monotonną melodię, w jakąś kołysankę. Okręt spał. Na mostku, oparłszy się o poręcz, wpatrywał się w ziejące przed nim ciemności podporucznik Zaremba, odbywający swe pierwsze, dalsze pływanie; za nim sternik, rosły, barczysty mat, z rękoma zaciśniętymi na szprychach sterowego koła, nie spuszczał wzroku z oświetlonego krążka kompasu.

Okręt szedł naprzód całą parą; ciężko oddychały klekocące maszyny, niestrudżonym zgrzytem odpowiadała im śruba, szumiały spienione fale, ciężko przewalając się, miażdżąc i rozpryskując na miliony bryzgów.

„Ćwierć rumbu na Wschód, Maciejewski!“

„Ćwierć rumbu na Wschód, panie poruczniku!“

Sternik przebijając szprychami spiesznie wyrównał kurs, Zaremba spojrzął kompas i poleciewszy sternikowi uważniej trzymać kurs, powoli zszedł na pokład. Okręt drgał na krótkich, nagłych falach, które niespodzianie pienistym językiem zlizywały pokład; Zaremba czepiając się lin, schodzić do trapu, kingstonów, wreszcie dotarł do burty, uczepił się jej kurczowo i czując się już bezpiecznym — wpatrzył się w opalizujące, siwe grzbiety fal, przelewające się wzdłuż boków „Krakusa“.

Zajączał żałośnie wiatr w olinowaniach, okręt zakołysał się gwałtownie; dziób uniesiony ku górze — opadł z szumem miażdżąc grzbiet tworzącego się wodnego wału; kaskada bryzgów oblała marynarza wachtowego, uczepionego bukszprytu.

Zimna kąpiel wprawiła marynarza w zły humor; zaklął siarczyście i owinął się szczelniej gumowym płaszczem.

Zaremba ocknął się z zadumy, rozśmieszyła go figurka marynarza, pasująca się z nową, nadbiegłą falą.

Nie puszając z rąk mokrzej, żelaznej poręczy, zbliżył się do wachtowego: — Coż, Gładysz, skąpało was? — spytał żartobliwie.

Marynarz usiłował się wyprostować: — Trochę, panie poruczniku. — I jakby chcąc nawiązać rozmowę dodał podniesionym głosem, by przekrzy-

czeń ryk wody: „Co za noc panie poruczniku! Ciemno choć oko wykol, fala mała, a nim się spostrzeżesz już pokład zmywa! I straszno jakoś, panie poruczniku, przecież zaraz wpłyniemy na „to miejsce!“ —

„Gdzie wpłyniemy, co wy pleciecie Gładysz!“ — odkrzyczał porucznik, „wiatr słaby, fala mała, czegoż ma być straszno?“...

— Toć to „Grób Marynarzy“, panie poruczniku!

Zaremba jeszcze w szkole morskiej słyszał o pewnym miejscu na Skagerraku, gdzie potężny wieniec raf tworzył olbrzymi basen, w którym stale morze kotłowało się i pieniało, rozbijając się wściekle o wystające głazy. Wyjść między rafami było mnóstwo, ale tylko przez jedno można było bezpiecznie przeprowadzić okręt; to też mnóstwo okrętów wraz ze swemi załogami padło ofiarą zdradliwej pułapki, słusznie ochrzczonej mianem grobu; w nocy, przy wyjściu z niej, kierować się trzeba na dalekie światło latarni morskiej w Z., bo na samych rafach niema boi latarniowej. Gdy zaś gęsta mgła przesłoni światło latarni morskiej pozostaje jedynie zakotwiczyć się i czekać rana.

„Opowiedzcie mi coś o tem!“ poprosił, zaciekawiony i przysunął się do samej twarzy Gładysza, by lepiej słyszeć.

„Było to w roku dwudziestym trzecim“, zaczął Gładysz, kiedym pływał na „Sokole“. W czerwcu wypadło nam płynąć do Cherbourga i musieliśmy mijać to przeklęte miejsce!“

Tu splunął zamasyście za burłę.

„Mijaliśmy je“, ciągnął, „jak dziś, w nocy i jak dziś stałem na wachcie. Tylko zła noc wtedy była, sztorm wściekły, a do tego mgła taka, że stojąc na dziobie, nie widziałem rufy. Na mostku stał sam kapitan, cała załoga była na pokładzie. I kiedy wyjechaliśmy tu panie poruczniku, zaczęło się! Rzucalo nas strasznie, a wiatr tak wył, że nie słychać było gwizdka kapitana. Wtedy to spadł z bocianiego gniazda Kulikowski, który tam stał na wachcie; spadł na pokład i koniec, 20 metrów przeciel!“

„Koło godziny 1-ej daleko gdzieś nagle zaczął dzwonić gong i tak żałośnie, cichutko, przeciągle, jakby opłakiwał lub ostrzegał kogo; bałem się wtedy strasznie i raz po raz się żegnałem. Kapitan też był w strachu, widać było, ale wymyślał nam, że tchórze jesteśmy, choć sam zębami szcząkał!“

„Uśmiechnął się Gładysz: — Pocziwy człek był śp. kapitan Czebrzyński! — A co się z nim stało? — zapytał Zaremba.

„Utonął rok temu pod Bornholmem!“ — „Otóż“, ciągnął, „słuchamy my, słuchamy, a po skórze, aż ciarki przechodzą, bo skądżeby w taką noc gong dzwonił; nagle, widzę daleko przed dziobem — światełko błyska; krzyczę kapitanowi, że boja na kursie. Kapitan patrzył, patrzył, sprawdza na mapie i jak nie zacznie mi wymyślać! Bo widzi pan porucznik, tam boi nie było!

„No to skądże światło?“

„Albo ja wiem, skąd? Było i wszyscy widzieli i gong każdy słyszał. I nie było to światło latarni morskiej, bo mgła ją przysłaniała, a zresztą i nie w tej stronie wcale Z. leży. Kapitan uparł się jednak, że to latarnia morska i jechaliśmy wprost na światło; kapitan ciągle kurs poprawiał, sam stał na sterze. A gong ciągle dzwonił! W tem z boku drugie światełko błyska... tu już kapitan sam głowę stracił i kazał spuścić dwie kotwice; tak staliśmy do rana, wtedy zobaczyliśmy, że tam gdzie drugie światło przez mgłę błysnęło — latarnia w Z. była a na kursie rafa, na mapie nieoznaczone i ani śladu boi.

Ot, gdybyśmy dalej jechali — śmierć pewna!“

Z temi słowami odsunął się od Zaremby; w tejże chwili fala uderzyła z furją w bok torpedowca i przewaliła się po pokładzie; obydwójce, uczepieni burty, skapani zimną wodą, ledwie zdołali oprzeć się zmyciu z pokładu.

Nagle Gładysz drgnął, jakimś nieswoim głosem zawołał: „światło za bakburtą!“ i z zabobonnym strachem zaczął się żegnać.

Mimowoli wzrok Zaremby poszedł we wskazanym kierunku; rzeczywiście, w oddali przez gęsty mrok słabo przebijał się migocący ognek.

Jakiś niesamowity dreszcz wstrząsnął młodym oficerem; zdawało mu się, że rozróżnia zupełnie wyraźnie kołyszącą się na spienionej fali — boję z umocowaną latarnią, a za nią... sterczące z wody, zdradzieckie rafy.

A okręt powoli zmieniał kurs... wprost na tajemnicze światło!

Oficer skoczył do sternika, który flegmatycznie przebierał szprychy.

„Zniosło nas pół rumbu z kursu, panie poruczniku!“ zameldował sternik, spokojny o siebie, gdyż wiedział, że winę ponosi oficer wachtowy, który nie dopilnował kursu, zajęty rozmową.

„Słuchajcie, Maciejewski, dlaczego sterujecie na to światło?“ gorączkowo pytał Zaremba.

„To latarnia morska w Z, panie poruczniku; zaraz minimy „Czarcią Bramę“ i wypłyniemy na pełne morze!“ spokojnie odpowiedział mat, ze zdziwieniem patrząc na wzburzonego oficera i palcem wskazał na tworzące się między dwiema czarnymi ścianami przejście, widoczne mimo mgły...

Szarzało już, gdy po czterogodzinnej wachcie Zaremba dostał się do swej koi. ale zasnąć długo nie mógł; zdawało mu się, że słyszy jęklivy głos gongu, a przed oczami wirowały mu we wścieklej sarabandzie światła wielu tajemniczych boi...

Kdt. Szulc Jan.

FATALNA TRZYNASTKA.

O, zgiń, przepadnij! O takich rzeczach mogą pisać tylko w „Kadecie“, którego redaktor jest asekurowany na życie, a skarbiec redakcyjny dobrze zabezpieczony przed defraudacją (1^o- pusty, 2^o- administrator rozbijająco-uczciwy!)

Gdyby nie to, trzynastka dawnoby się zemściła.

Znani są tacy, którzy przez lekceważenie tej cyfry popadli w tarapaty. Jeżeli ktoś nie wierzy, niech sobie przeczyta kilka powieści: gdzie trzynastka tam trup, czy nieszczęście! Jeszcze nigdy nie słyszałem, by np. ekspres Nr. 13 dojeżdżał spokojnie do stacji. Zawsze czytamy coś w tym rodzaju: pociąg zajeżdżał przed dworzec, gdy jakaś zakwefiona kobieta, gibka jak pantera, z twarzą niesamowicie tragiczną — rzuciła się... dalej cytować już nie potrzeba, każdy wie, że stało się nieszczęście.

Albo taki wypadek: pociąg pospieszny mknie z szybkością stu piętnastu i pół kilometra na godzinę, maszynista zapatrzył się w dymek trzynastego papierosa. W wagonie 1-ej klasy szedł korytarzem jakiś jegomość; po kilku sekundach wyjrzał oknem — przerażenie odbiło mu się na twarzy: z daleka na torze sunęły szybko w ciemnościach dwie latarnie..

Proszę i nowa katastrofa blisko: człowiek cofnął głowę i... wybił szybę, a w chwilę potem minęły się dwa pociągi. Rezultatem tego było zapłaćcenie kary za szybę wraz z dodatkiem na bezrobotnych, razem złotych polskich pięć i i groszy trzydzieści osiem.

Albo np. tytuły detektywno-krwawych powieści. Tam zawsze wplączę się jakaś „Morderca 13“, albo „Krwiożerca 13“. W każdym razie w takich opowieściach z trzynastkami są stopy trupów, cysterny łez, a zbrodni tyle, że Landru, a nawet sam Zieliński schodzą na psy.

Gwałtu, co ja napisałem! Jeszcze mnie ktoś porówna z May'em, czy innym Doyle'm! Przysięgam, że nie chcę garniować tej opowieści żadnym trupem; przed półroczem i tak ich pełno! Tytuł, który dałem mojej przygodzie jest w istocie swojej niewinny; jest to symbol krzyku dręczonego serca. Tak.

Działo się to trzynastego, w piątek i to w korpusie. Już samo zebranie się tylu nieszczęśliwych prognostyków może źle podziałać na człowieka!

I właśnie tego dnia miał dawać galowe przedstawienie w Korpusie słynny hypnotyzer i magik. Ponieważ widziałem nieraz takich, cały dzień myślałem tylko o tem, jak pewnego razu w Modlinie wziął taki magik cylinder, włożył doń kilka jajek — potłukł je, pomieszał, a już po chwili wyjął gotową jajecznicę zamiast zapowiedzianego zegarka!

Następnie wlał do kubka wodę z kranu, zagrzał ją i po chwili obnosił po sali „wyborną“ kawę. Takie „wyrabianie“ potraw bardzo się kadetom podobowało, bo przypominało kuchnię naszą, w której kucharz pragnący usmażyć befszytk, znajduje na patelni... kawałek deski!

W każdym razie sądziłem, że dzisiejszy hypnotyzer będzie większym mistrzem.

Nadszedł wreszcie wieczór i trzynastka zaczęła działać.

Doprawdy, trzeba być wrodzonym pechowcem, by chodzić na takie rzeczy, ale... nie uprzedzajmy wypadków.

Hypnotyzer przedstawiał się okazale, oczy jak koła młyńskie świeciły się zdaleka. Uwagi godne były jego ręce długie i opatrzone ruchliwymi palcami. Jednym słowem rokował najlepsze nadzieje jako pianista, kasjer bankowy, lub piszący na maszynie.

Posiedział chwilę w mistycznej zadumie, wyczyścił paznokcie i ...zaczęło się.

Na sali panowała grobowa cisza.

Kadeci, jako gospodarze, chcieli mu z całego serca dopomóc, więc każdy starał się jaknajprędzej zasnąć; jeden posunął swą gorliwość do tego stopnia, że na pytanie „śpisz?“, odpowiedział głośno i wyraźnie: „Tak jest, panie magik!“.

Tymczasem magik nie tracił czasu, rękoma wymachiwał nad głową wybranych, kreślił koła i grobowym głosem mówił coś do nich. Podsuwałem się bliżej, a to co usłyszałem zmroziło mi krew w żyłach. Wśród głuchej ciszy słychać było słowa: „Pana ręce są sklezione, zlepione, związane, sklezione, zlepione, związane zupełnie, całkiem, jak syndetikonem, jak klejem stolarskim! A ofiary owego konfidenta duchów trzęsły się, oczy wychodziły na wierzch.

To już mnie podnieciło do maksimum, zbliżyłem się do katowanych, osłaniając się powagą korespondenta „Kadeta“. Ale to mię właśnie zgubiło. Ha! Jaki marny jest mój rozum: dlaczego mię nie ostrzegł, że to się będzie działo trzynastego!

Tymczasem hypnotyzer wymachiwał ręką dalej i głos jego coraz więcej było słychać: „Pana ręce już zdrętwiały, stwardniały jak kość, jak drewno, jak piernik korpusowy! Niech pan spróbuje ręce rozłączyć, rozerwać!“ Kadecina próbuje i próbuje, wije się w męce i nic! O, to było wspaniałe!

Podsunałem się zupełnie blisko; a w tej właśnie chwili zmógł ów kadet krępujące go siły nieczyste i bohaterskim gięstem rozczapierzył ręce, rażąc mnie dotkliwie w oko.

Okrzyk zdziwienia wydarł się z piersi widzów. Lecz od czego harda dusza kadecka?

Nie zemdlałem nawet, zatrząsałem się tylko, jak galareta porzeczkowa, wkładana do kompotjerki; było to dopiero początkiem nieszczęść. Magik skorzystał z pretekstu i całą winą zwałił na mnie twierdząc, że widocznie jestem wygimnastykowany psychicznie i dlatego swą obecnością przeszkodziłem jego tajemniczym eksperymentom.

Wobec takich słów, audytorjum, zapłonęło straszmem oburzeniem i wyrzucono mnie niesławnie z sali. Zemsta trzynastki była straszna, ale przynajmniej dowiedziałem się, że mam zdolności hypnotyzerskie. Postanowiłem to wykorzystać na lekcjach. To też na drugi dzień odrazu na pierwszej lekcji zacząłem swe praktyki.

Muszę wyznać, że dnia tego wiadomości moje z historii były nader mętne. Sposób ich wiązania przypomniiał słynne „reductio ad absurdum“.

Wpatrywałem się tedy w twarz wykładowcy, a w myśli powtarzałem: „Nie, nie wolno mi dziś pytać! Z początku wszystko szło wedle mej woli: objaśniał! Lecz gdy przestał, ogarnął mnie błąd strach; skurczyłem się strasznie, zaledwie nos i uszy sterczały ponad pulpitem.

To mię jednak nie uratowało; wykładowca wodził po klasie wzrokiem zgłodniałego rekina wpatrującego się w niewinną ofiarę. Po chwili wstał i skierował swe kroki ku mnie.

Zrobił krok, jeszcze jeden, znowu jeden... stanął. Struchlałem; nie śmiałem wzroku podnieść, dusza wyła mi z rozpacz. Tymczasem oficer poszedł dalej; w głowie harcowało mi stado rozigranych słoni,.. nagle padło moje nazwisko ciężko i złowóżbnie, jak grudki ziemi na trumnę..

Wstałem, uśmiechnąłem się, lecz był to uśmiech zgilotynowanego człowieka!..

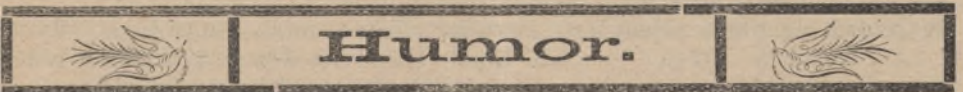
Cała historia skończyła się tem, że dostałem niedostateczny stopień i mam teraz przed półroczem wykazać znajomość awantur rewolucyjnych we Francji, opisanych wspaniale na stu stronicach!

To było „clou“ trzynastki, to był jej „majstersztyk“! To też radzę wszystkim przesytać ten dzień od rana do nocy i udawać wtedy nieboszczyka na urlopie.

Podziwiam spryt foot-balistów, którzy grywają w jedenastu nie w trzy-nastu, chyttrze przewidując, że w tym wypadku zawsze będzie o dwóch pokopanych mniej!

Howgh! Skończyłem.

Kdt. Zygmunt Wróblewski.



KWIECISTY STYL (autentyczne).

K a d e t : Pod palącemi promieniami gorącego słońca afrykańskiego, przeciężając samumy i huragany, począł Bonaparte organizować politycznie Egipt.....

TO JASNE!

Oficer: Dlaczego tak niezrozumiale oznaczyłeś granice trzech rozbiorów Polski?

Kadet: Jakto, panie kapitanie? Pierwszy rozbiór oznaczyłem linią kreskowaną, drugiego nie oznaczałem, a trzeci zajmuje resztę pozostałą z dwóch pierwszych!

NATRĘTNY.

- A. Kiedyż oddasz mi złotówkę pożyczoną w zeszłym roku?
 B. Jak się nie wstydzisz być tak natrętnym? Są tacy, którym jestem winien po dwa złote od dwóch lat i nic nie mówią!

U LEKARZA.

- X. Na co jesteś chory?
 Y. Na płuca.
 X. Daj spokój to już ja pierwszy zamówiłem. Lepiej zwichnij nogę!

ROZTARGNIENIE.

Szeregowiec (ordynans): Melduję posłusznie, że p. majorowa prosi p. doktora na obiad!

Lekarz (machinalnie): Sanitarjusz! Jodyna, olejek i zabandażować.

„SZCZYTY“ KADECKIE.

Szczyt krótkiej pamięci: nie wiedzieć ile dni pozostaje do Wielkiej nocy.

” przemysłności: zdobyć siedzące miejsce w kinie korpusowem.

” lekkości: zjeść jednego śledzia korpusowego i żądać drugiego.

” rezygnacji: pójść na bal w Chełmnie.

” mody: jechać na operację ślepej kiszki do Torunia.

Ste-zet.

SPRAWOZDANIE SPORTOWE.

ZAWODY ŁYŻWIARSKIE.

Dnia 30. bm. odbyły się zawody łyżwiarskie o mistrzostwo Korpusu. Konkurencje były następujące:

1. Jazda figurowa pojedynczo.
2. Jazda parami.

W jeździe figurowej pojedynczo pierwsze miejsce uzyskał kdt. Zyg. Wolski, z komp. 5. drugie — kdt. Karol Dolewski komp. 4, trzecie Witold Czerniewski.

W jeździe parami: pierwsze miejsce kadeci: Karol Dolewski i Stanisław Głowacki komp. 4, drugie kadeci: Zygmunt Wolski i Mieczysław Boenisch, komp. 5.

Sędziowali pp. major Truskowski, kpt. Racięcki, por. Świetlicki prof. St. Lotz

KRONIKA KORPUSOWA.

Chełmno, styczeń 1927 r.

Ferje świąteczne skończyły się z dniem 3. b. m., w którym to dniu kadeci powrócili do korpusu. Następnego dnia rozpoczęły się normalne wykłady i zajęcia.

Dnia 6 bm. kompanja 4-ta urządziła u siebie „choinkę“, która odbyła się w gronie pp. oficerów kompanijnych i kadetów. Obchód rozpoczął się tradycyjnym opłatkiem, poczem p. kpt. Stolarz dowódca 4-ej komp., przemówił do kadetów, odpowiadając na życzenia w szczerych słowach zachęcając do dalszej pracy Serdeczny i wesóły nastrój, jaki się wytworzył, pozwolił kadetom zapamiętać o wszelkich troskach i spędzić wieczór nadzwyczaj mile.

Dnia 16 bm. w kompanji 2-ej odbyła się uroczystość otwarcia świetlicy. Patronem jej obrano Piotra Wysockiego, którego polecał kadetom naśladować w serdecznej przemowie wstępnej p. mjr. Jura, dowódca 2-ej komp. Popisy orkiestry pod dyрекcją p. prof. Radziwińskiego wypadły udatnie, jak również deklamacje i wesole djalogi. Poziom uroczystości świadczył o starannem przygotowaniu.

Dnia 23 bm. w sali „Strzelnicy“ święciliśmy rocznicę powstania styczniowego. Obchód urządził Korpus Kadetów Nr. 2. Po odegraniu marsza powitalnego przez orkiestrę korpusową wygłosił piękny i zajmujący odczyt o powstaniu p. kpt. Ćwikowski. Deklamacje, popisy sekstetu skrzypcowego, prowadzone przez p. prof. Radziwińskiego, śpiewy chóru kadeckiego i występ orkiestry dętej przyczyniły się do urozmaicenia tej uroczystości. W Nr. 7. „Nadwiślanina“ z dnia 26 I. 1927 umieszczono obszerną recenzję o tym obchodzie, podkreślając z uznaniem zasługę Korpusu Kadetów w kultywowaniu czci i pietyzmu dla bohaterskich powstańców. Z najpochlebniejszą oceną spotkała się deklamacja kdt. Grynbauma pt. „Polonez artylerji“.

Od ustalenia się mroźnej pogody uczęszczają kadeci na ślizgawkę na stawy podmiejskie, oddając się z zamiłowaniem łyżwiarstwu.

Z chwilą dokompletowania przez Komendę Korpusu sprzętu bokserskiego i szermierczego, poczęli kadeci pilnie trenować te dwa sporty, doskonaląc się na tem, dotychczas zaniedbanem polu.

W mieś. bieżącym przybył do Korpusu por. Czechowicz Marcin z 45. pp. na stanowisko wychowawcy (dowódcy plutonu) w kompanji 3.

KONKURS.

Pragnąc wciągnąć do współpracy jaknajszerszy ogół kadetów ogłaszamy

KONKURS NA NOWELĘ.

Prace podpisane godłem prosimy wrzucać do skrzynki redakcyjnej, wraz z zapieczętowaną kopertą z uwidocznionem na wierzchu godłem, zawierającą kartkę z nazwiskiem autora.

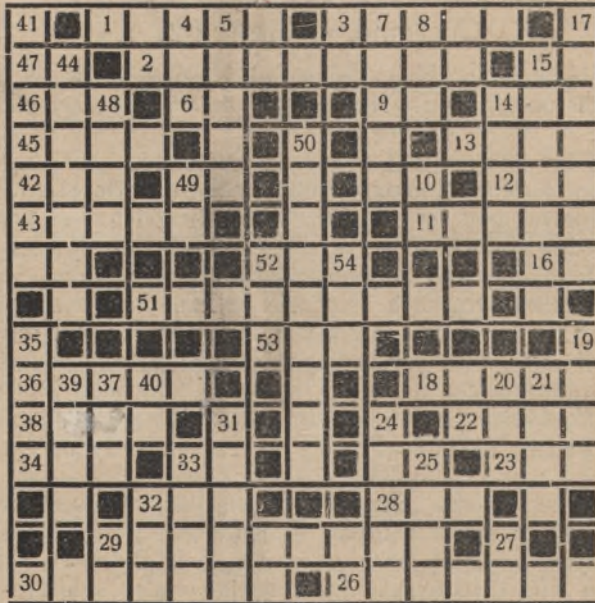
Nagrodzone zostaną trzy prace.

I	nagroda wartości	30 zł.
II	„	20 „
III	„	10 „

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 15. III. 1927. Redakcja zastrzega sobie prawo drukowania nienagrodzonych prac,

Redakcja.

KRZYŻÓWKA.



W Y R A Z Y.

POZIOME.

1. Odlam religijny
2. Imię męskie
3. Wiara
6. Rzeka w Rosji
9. Karta
11. Rodzaj żelaza (2 p. l. p.)
12. Niewolnik
13. Napój
14. Skorupiak (wspak)
16. Spółgłoska
18. Władca Rzymu
22. Część okna
23. Narząd zmysłu
26. Szlachcic z XVII w.
28. „Kochać” po łacinie
29. Mił germański
30. Robactwo kuchenne
33. Zaimek wskazujący
32. Część garderoby
34. Papuga
36. Postać z „Barbary” Felińskiego
38. Miasto w Polsce
42. Pierwiastek chemiczny
43. Moralność
45. Drobiną
46. Pierwiastek chemiczny
47. „Do” po niemiecku
49. Spółgłoska
51. Inaczej osadnik
52. Przebóg
53. Metal używany w blacharstwie

PIONOWE.

3. Nuta (wspak)
4. Liczebnik
5. Inaczej stado
7. Inaczej rozgłos
8. Wiele drzew
10. Spółgłoska
14. Wymiar sprawiedliwości
15. Stan
17. Broń
19. Żydowskie imię żeńskie
- 20: Przyjaciół Mickiewicza
21. Bóg
24. Miasto w Czechach
25. Tytuł turecki
27. Nuta
31. Zwój nici
32. Oklaski
33. Część gramofonu
35. Jaja ryb
37. Wierzbą wodną
39. Zjawa
40. Zaimek wskazujący
41. Miejsce rozrywki
44. Zapiski
48. Familje
50. Wykładowca przedmiotu
52. Dźwięk
54. Niezbędne dla szklarza

Ułożył B. S.